



## Zbrodnia.

(Z serbskiego przełożył R. W.)

Przed kawiarnią „Strasburg“ na przystani tulońskiej pewnego popołudnia, jak zresztą i codziennie, siedziała grupa uciekinierów serbskich, przyglądając się gorączkowemu życiu, jakie kipiało tu wokół. W porcie wojennym nie ustawała praca. Lżej jakoś znosiło się rozterkę na emigracji, gdy patrzeć można było na stojące w porcie wielkie okręty wojenne marynarki francuskiej. Rodziła się nadzieja prędkiego powrotu do Ojczyzny.

— Dobrze dan, gospodine P.! — zwrócił się do jednego z siedzących Serbów pewien Francuz w mundurze marynarza, wymawiając owe pozdrowienie dobrym akcentem serbskim, co zwróciło uwagę wszystkich obecnych, a zwłaszcza zdziwiło tego, do którego powitanie to było skierowane. Serb powstał, uściśnął wyciągniętą do niego dłoń Francuza, z jego wyrazu twarzy znać było jednak, że nie przypomina sobie znajomości z marynarzem.

— Co, nie poznaje mnie pan? To pan byłś urzędnikiem policyjnym w Belgradzie i ocaliłeś mi życie!

— Ach, tak, pan Jan Dupont! Oczywiście pamiętam! Proszę wybaczyć, że nie od razu poznałem, ale, jeśli się nie mylę, upłynęło od tego czasu już trzy lata i to jakie lata... Niechaj pan spocznie na chwilę w gronie dawnych przyjaciół — zapraszał go P..., podsuwając mu swoje krzesło.

Właśnie zapiszczał przeciągłym głosem sygnał jednej z łodzi motorowych, stojących opodal u brzegu. Na apel ten wielu z marynarzy, którzy krzatali się na przystani, zaczęli z pośpiechem biec ku łodzi. Jan Dupont nie zdążył jeszcze przysiąść się do kompani emigrantów i rozpocząć rozmowy, wskazał tylko ręką w stronę sygnału i rzekł:

— Muszę pana pożegnać! Trzeba spieszyć za towarzyszami — skłonił się wszystkim obecnym, serdecznie uściśnął dłoń zaambarasowanego jeszcze tym spotkaniem Serba i oddalił się, szybko zbiegając po kładce do łodzi, która zaczynała się już kołysać, gotowa do odbicia od brzegu.

Towarzystwo przed kawiarnią patrzyło w stronę łodzi, jak oddalała się od przystani, przypatrywało się dalej, jak podążała tam, gdzie stał na kotwicy wielki okręt wojenny, jak marynarze jeden za drugim wspinali się zrećnie po drabinie na pokład pancernika. Wreszcie ktoś z towarzystwa zwrócił się do P..., którego tak niespodziewanie pozdrowił marynarz francuski:

— Ale, kto był ten Francuz tak znakomicie mówiący po serbsku?

— I któremu pan, jak on sam twierdzi, ocaliłeś życie — dodał drugi. Jestem przekonany, że to jakaś ciekawa historia policyjna.

— Zgadłeś pan — odrzekł zapytany. Z owym Janem Dupontem poznałem się w Belgradzie, pełniąc swe służbowe obowiązki. Wprawdzie tych obowiązków nie spełniłem wówczas tak, jak tego wymaga „regulamin służby“ i dlatego nie mogę się tem pochwalić — ot była historia tego rodzaju: on popełnił zbrodnię, a ja pomogłem mu w tem, by uniknął kary.

— Skoro pan już rozpocząłeś opowiadać, należy skończyć. Musisz się pan usprawiedliwić — nalegało zaciekawione towarzystwo — i P... zmuszony, wychyliwszy resztę wermutu, jaka pozostała w kieliszku, zaczął temi słowy:

— Było to pod koniec pierwszego roku wojny. Wielkie francuskie działa okrętowe zostały przewożone do obrony Belgradu, usadowiły się na sąsiednich wzgórzach i rozpoczęły piorunującą akcję. Od paru dni czuliśmy się pod tą osłoną kanonady bezpieczniejsi. Nieprzyjaciół bombardował znacznie słabiej miasto i poszukując baterji francuskich, w nocy reflektorami badał okolice. Chwilami w mieście było tak widno, że mój inspektor, znużony uciążliwą podówczas pracą, gdy zdrzemnął się na chwilę, zrywał się wnet na równe nogi, przypuszczając, że spał długo i że już na dobre dzień się zrobił. — Mówię tu o tem, aby przypomnieć te różne przeżycia.

Pewnego ranka, gdy przyszedłem do swego komisariatu, powiadomił mnie dyżurujący urzędnik, że dyrekcja policji wezwała mnie telefonicznie i że bym niezwłocznie udał się do dyrekcji. Tam dowiedziałem się, od pełniącego służbę pomocnika dyrektora, w jakim interesie wezwano mnie i co mi poruczono.

— Panie P..., powiada mi — przed piętnastu dniami zaginęła pewna dziewczyna i dotychczas nie można jej było odnaleźć. Jej nazwisko i inne dane znajdzie pan w tym oto papierze. Ojciec panny był wczoraj u dyrektora i prosił go ponownie o pomoc i wynalezienie córki. Dyrektor pokłada w panu nadzieję, że pańskie zabiegi okażą się skuteczne.

Wziąłem dany mi papier, na którym wyczytałem: Zora N..., siedemnastoletnia córka N. N. znanego kupca i obywatela, ulica itd.

Obiecawszy, że uczynię wszystko, co leży w mojej mocy, aby odnaleźć dziewczynę, udałem się do mieszkania jej rodziców, według podanego adresu. Tu musiałem być świadkiem wzruszających scen rozpaczliwych rodziców, wysłuchać różnych chaotycznych informacji, a nie chcąc tracić czasu, zapewniłem ich, że wszystko skończy się dobrze, rozpocząłem planowe poszukiwania.

Wśród książek zaginionej Zory (była ona uczennicą gimnazjum żeńskiego) znalazłem kilka listów i kart pocztowych, których treść wzbudzała pewne podejrzenie. Zwłaszcza zwróciła mą uwagę jedna z kart, na której była fotografia marynarza francuskiego, właśnie tego Jana Dupont, któregoście, panowie, przed chwilą widzieli. Wyrazy skreślone na tej karcie dawały dużo do myślenia i pozwalały przypuszczać, że Jan może coś wiedzieć o zaginionej Zorze. Inne listy i karty pochodziły od przyjaciół.

Aby zebrać pewniejsze dane co do swych podejrzeń, zanotowałem sobie kilka adresów przyjaciół Zory, poczem udałem się do nich celem zasięgnięcia informacji. Na szczęście odnalazłem dwie w domu, a po rzuceniu kilku krzyżowych pytań dowiedziałem się, że Zora była zakochana w owym Janie, co zresztą sam wynioskowałem z treści paru słów wypisanych na karcie. Atoli żadna z tych dziewcząt nie umiała powiedzieć mi, gdzie obecnie znajduje się Zora i czy Jan może cokolwiek wiedzieć o niej.

Nie pozostawało więc nic innego, jak odnaleźć Jana. Po stosunkowo niedługich poszukiwaniach dowiedziałem się, że Jan jest przy jednej z baterji francuskich, stojących niedaleko za miastem. Wziąłem pojazd i udałem się w to miejsce. Tam zameldowałem się u dowódcy baterji, francuskiego podpułkownika, który właśnie stał przed swym namiotem. Dowódca baterji pilnie wysłuchiwał mych wyjaśnień, a kiedy skończyłem, zwrócił się do najbliższej grupy żołnierza i krótko zapytał:

— Czy jest tu pan Jan Dupont?

— Jestem! odpowiedział jeden z marynarzy, w którym od razu poznałem Jana, pamiętając rysy jego twarzy z fotografii.

— Proszę tu przyjść — wezwał go dowódca.

Kiedy Jan zbliżył się i oddał honory wojskowe, pułkownik rzekł do Jana wskazując na mnie:

— Oto ten pan jest urzędnikiem policyjnym, pragnie panu zadać kilka pytań, proszę mówić prawdę!

— Czy pan może zadawać pytania, zwrócił się pułkownik do mnie?

Miałem zamiar zachować się w ten sposób, aby Jan przypuszczał, że już właściwie jego przewinienie nie jest dla mnie tajemnicą, zadawać pytania ostre i obciążające, albowiem byłem pewny, że Jan przysłał się do wszystkiego tylko wtedy, gdy go z punktu skonstruuję. Pod wpływem jednak zachowania się dowódcy baterji, zrezygnowałem z tej metody. Poza tem zauważyłem, że moja obecność wywołała na twarzy Jana pewne bladość.

Panie, rzekłem do niego, pan zna Zorę N..., którą przed piętnastu dniami odwiedzał pan codziennie, a sądząc z tej oto karty pańskiej, łączyły pana z nią węzły serdeczne. Czy pan wie, że Zora zaginęła i od dwóch tygodni niewiadomo co się z nią dzieje.

(D. c. n.)

## O TEATRZE.

—o—

MISTERJA A DRAMAT.

Dla dokładniejszego zrozumienia różnic między dramatem a misterjami należy rozpatrzeć w szczegółach, wskazać na nawskróś religijny charakter misterjów polegający na pewnego rodzaju łączeniu się w stanie entuzjazmu z bóstwami. Misterja elenzyjskie, odbywane na cześć bogiń, z których jedna Demeter, opuściwszy Olimp, zbliżyła się do ludzi, druga zaś, porwana przez Hadesa, po swym powrocie na ziemię pouczyła ludzi o tajemnicach życia pozagrobowego — misterja te miały za przedmiot śmierć i życie pozagrobowe. Kiedy zaś człowiek zaczynał czuć drżenia i tajemnice życia na ziemi, zwracał się w swej tęsknocie do Dyonizosa, szukając w jego upojeniach odpowiedzi na zagadki bytu. Wtedy to w jednej z dolin górskich w okolicach Parnassa gromadził się tłum czcicieli Dyonizosa, mężczyzn, przebranych za faunów, kobiety — za menady, bachantki.

Pod wpływem szału orgiastycznego, zapominali oni o swych stanowiskach obywatelskich, o nazwiskach, stawiali się częścią natury, przez którą płynęła fala soków życiowych. Nie było to upojenie zwykłe, lecz upojenie się potęgą natury, która ich przenikała. Ubrani w wieńce z bluszczu i róż czuli się rzeczywiście temi istotami, które przedstawiali. Dyonizos ukryty w głębiach ziemi, skrępowany przez Tytanów oczekiwał na wyzwolenie — a chór czcicieli, mężczyźni w koźlich skórkach, kobiety prowadzące pantery lub z okrzęconymi węzami koło szyi, zataczał taneczne kręgi wokół ołtarza Dyonizosa, przy dźwiękach cymbałów, mosiężnych i przeciąłych zawodzeń fletni. Coraz większy szal ich ogarniał — coraz silniejsze krzyki „Cooc“ ukaż się Dyonizowie rozlegały się. Wreszcie wnetrze skały zdaje się otwierać i wobec przeżalonego jakby piorunem rażącego tłumy zjawia się *Zjawa*, oczekiwany bóg Dyonizos, — z wieńcem na głowie i z ową niewysłowioną smutną tęsknotą i pragnieniem w oczach. Słaby refleks tego spojrzenia zachowywał nam posąg Dyonizosa, spojrzenia, w którym kryje się nigdy niezadowolone pragnienie rozkoszy. Piękno rozpatane przez Dyonizosa, Apollo bóg słońca i światła w kształt i miarę zaklinał. A ollo, którego najślawniejsza świątynia była w Delphos — a około którego dziewięć muz służbę pełniło, jest jakby uosobieniem człowieka, co przez poznanie piękności stworzenia oświeconego siedmiobarwnymi promieniami słońca panuje nad światem. Siłom pierwotnego chaosu nakazuje pracę kształtującą i przykuwa je do idei piękna, tłumiąc w nich za silny żywiołowy rozpęd. Na intuicję człowieka działa Apollo, Dyonizos zaś i Demeter pouczają ludzi podobnie jak egipska Isis o formułach, które niewola bogi i demony.

Misterja eleuzyjskie rozpoczynały się od procesji, która niosąc świętości wychodziła z Eleusis do Aten. Na jej przybycie oczekiwali adepci ze swoimi nauczycielami, dla odbycia koniecznych przygotowań do ostatecznego wtajemniczenia. Przygotowania te polegały na zupełnym oczyszczeniu adeptów od wpływów złych duchów. Wiercono bowiem w Grecji, że w świecie niewidzialnym istnieją całe legjony duchów bezimiennych, złośliwych i złych, które rzucają się na człowieka, na jego krew i sprowadzają choroby ciała i duszy. Oczyszczenia tego dokonywano przez post dziewięciodniowy, przez obmywania wodą i zupełną wstrzeźliwość. Drugim sposobem oczyszczenia było zwabienie i wyprowadzenie z ciała tych złośliwych istot na krew zwierzęcą. W tym celu każdy z adeptów obowiązany był ofiarować zabite prosię; na broczącą krew schodziły owe złośliwe duchy pod nakazem pewnych zamówień.

Po spaleniu doszczętnym tych ofiarnych zwierząt formował się pochód powrotny do Eleusis.

Na początku niesiono posąg lakchosa owego geniusza cyklu Demeter i Kory w otoczeniu kapłanów. Za nim jechał wóz ciągniony przez